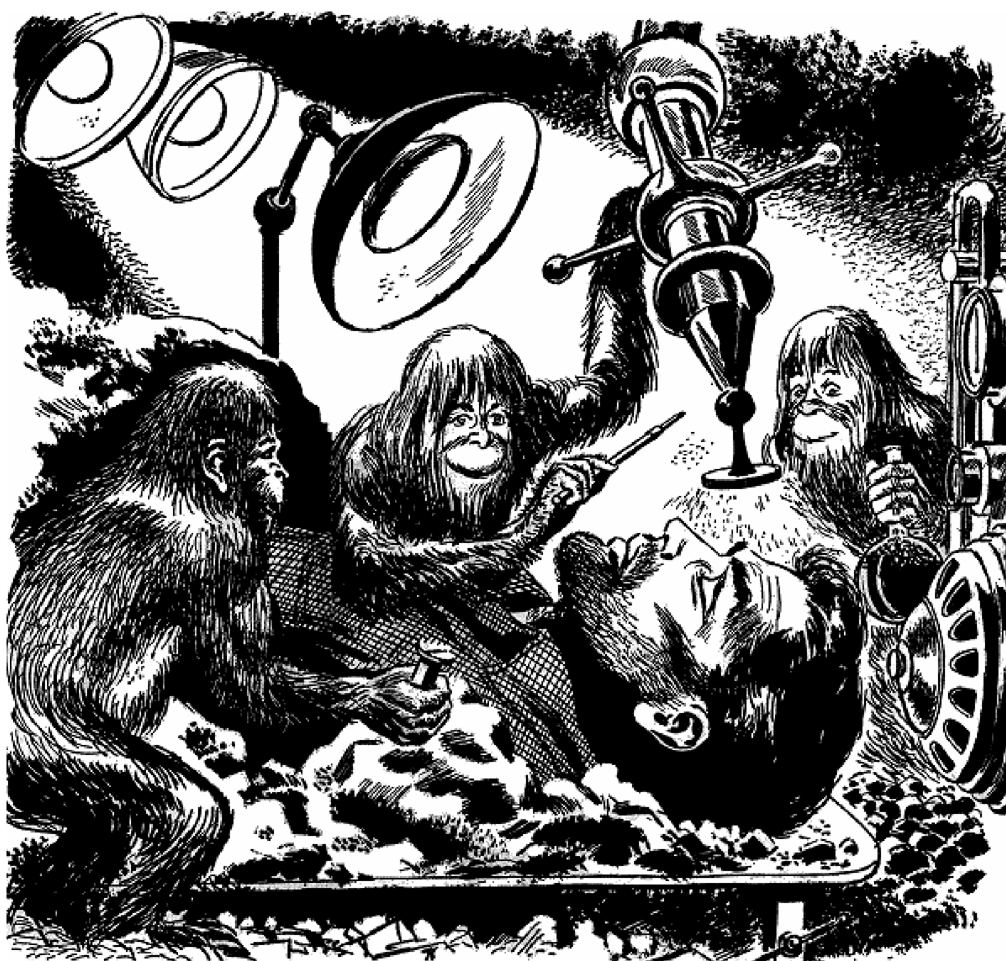
Raymond Z. Gallun

Odwieczna bariera

(The Eternal Wall)

Amazing Stories, November 1942.
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz



W umysłach tych stworzeń zamknięta była niewiarygodna wiedza, milionów lat.

Pisk hamulców, plusk lodowatej, alkalicznej wody, długie opadanie w głębiny… to była śmierć. Ale Ned Vince wrócił ponownie do życia — tylko że miliony lat później!

– **D**o zobaczenia za pół godziny, Betty – powiedział Ned Vince przez telefon towarzyski. – Będziemy w Silver Basket przed wpół do jedenastej…

Ned Vince z góry się już cieszył, na spotkanie z ukochaną dziewczyną. Dlatego właśnie tak bardzo chciał, jak najszybciej dojechać z Hurley, do sąsiedniego miasta, w którym mieszkała. Jego stary samochód trząsł się i ryczał silnikiem, kiedy brawurowo pokonywał kolejne wiraże na krętej szosie, w pobliżu Zakrętu Wokół Dołu.

To właśnie tam Pani Śmierć poklepała go po ramieniu. Nagle przed maską wyrósł mu jak spod ziemi inny samochód, a jego reflektory oślepiająco oświetlały potężną ścianę z jurajskiej skały sterczącą wysoko w górę, na zakręcie drogi.

Oślepiony i oszołomiony swoją własną beztroską szybkością, Ned Vince mógł uniknąć straszliwego miażdżącego zderzenia, jedynie dzięki swojemu młodemu, błyskawicznemu

refleksowi. Zarzucił płynnie kierownicą w prawą stronę, jednak Zarząd Dróg i Autostrad hrabstwa, nie położył jeszcze asfaltu na żwirowym poboczu na Zakręcie.

Ned po prostu nie mógł sobie wybrać gorszego miejsca na to, aby wpaść w poślizg i zacząć obracać się tyłem do przodu. Jego samochód uderzył bokiem w pomalowane na biało, drewniane barierki, przebił je nie tracąc rozpędu, stoczył się po stromo opadającym zboczu, uderzył w ogromny kamień i, lekko wybity w powietrze, poleciał potężnym łukiem prosto przed siebie, spadając z gracją nurkującego łabędzia, w atramentowe wody Dołu, znajdujące się pięćdziesiąt stóp poniżej…

Ned Vince ciągle jeszcze był na wpół przytomny, kiedy czarna spokojna tafla, wyleciała wokół niego w górę, w potężnym rozbryzgu. Poczuł tylko mocne uderzenie rozcinające mu czoło i zgrozę kneblującą mu wargi.

Teraz, kiedy złapany w pułapkę we wnętrzu swojego rozbitego samochodu, zaczął się razem z nim zanurzać pod wodę, wszystko działo się już dużo wolniej. Trudno było sobie nawet wyobrazić coś, co oznaczałoby pewniejszą zagładę niż to. Dół był niesamowicie głęboką zapadliną w ziemi, wypełnioną w dodatku po brzegi wiosennymi wodami. Obrzeża tego niemal bezdennego akwenu, oblepione były dookoła białym pierścieniem. Woda, w której tak często pływały martwe ptaki, przesączona była substancjami alkalicznymi. Kiedy ta ciężka, pełna związków sodu woda, zaczęła napływać przez dziury i pęknięcia pod jego stopami, Ned wiedział już, że rodzina, ani przyjaciele, nigdy nie zobaczą nawet jego ciała, straconego w tej głębinie bez możliwości wydobycia.

Samochód zanurzył się bardzo głęboko. Światełka mierników na desce zamrugały i zgasły, pozostawiając Neda w absolutnej ciemności. Przez wgniecione okno runęła cała powódź. Szarpał paznokciami za drzwiczki, próbując je otworzyć, ale zaklinowały się w powyginanej podczas uderzenia framudze, a ponadto nie mógł ich wypchnąć, z powodu siły napierającej wody. Rana, pozostała po uderzeniu w czoło, narzucała na jego mózg coraz bardziej gęstniejącą zasłonę, tak że nie mógł jasno myśleć. Wkrótce również nie był już w stanie, dłużej powstrzymywać oddechu i gorzka ciecz wtargnęła do jego płuc.

Ostatnie myśli przebiegające mu przez głowę, były typowe dla tonącego człowieka. Warsztat naprawy maszyn, który jego tata miał w Harwich. Betty Moore ze swoimi roześmianymi irlandzkimi oczyma — całkiem jak w piosence. Betty i on tej jesieni planowali pójść na Uniwersytet Stanowy. Planowali również, że pewnego dnia się pobiorą… Do widzenia, Betty…

Fale, które zwichrzyły powierzchnię wody w Dole, uspokoiły się już i woda ponowne była szklisto gładka. Odwieczne gwiazdy spokojnie świeciły. Stare wzgórza Dakoty, które mogły pamiętać jeszcze dinozaury, nadal wznosiły się wzdłuż autostrady. Czas, brat Śmierci i Ojciec wszystkich zmian, zdawał się czekać…

– **K**aalleee! Tik!… Tik, tik, tik!… Kaalleee!…

Podekscytowany krzyk, którego ludzkie gardło nie byłoby w stanie nawet wiernie odtworzyć, wydobywał się z przesuszonego i pełnego pyłu wąwozu, wyżłobionego przez wodę, przed niepamiętnymi wiekami. W porze południa Słońce było czerwone i ogromne. Powietrze było lekkie, przeraźliwie suche, chłodne.

– Kaalleee!… Tik, tik, tik!…

Niesamowite, jakby tryumfalne dźwięki, początkowo wydawał z siebie tylko jeden głos. Potem inne organy mowy przejęły od niego to jodłujące zawodzenie, po którym następował krótki, ostry, pełen energii chichot. Do tego chóru wmieszały się inne nuty, jakby zwątpienia

czy zastanowienia. Pomimo że trudno byłoby określić je jako ludzkie, zaburzenie to można by porównać do paplaniny grupy robotników, którzy właśnie odkryli coś nadzwyczajnego.

Na zupełnie pustej przestrzeni wokół wąwozu, nie było widać kompletnie żadnego ruchu. Lodowaty podmuch wiatru porywał małe obłoczki kurzu z groteskowo ukształtowanych zasp piachu, od eonów niemal pozbawionych wody. Tu i ówdzie, sterczące w górę skały, pokrywały łaty szarych porostów, ale na samej pustyni, nie było widać żadnych innych oznak życia. Nawet wzgórza były dużo mniejsze, zniwelowane przez niezliczone wieki erozji.

W odległości mili, wznosiła się sterta pokruszonego gruzu. Kiedyś pewnie był to jakiś budynek. Z jego szczytu sterczała skośnie w górę, gigantyczna, postrzępiona masa szczątków, przerdzewiałe resztki czegoś, co musiało pewnie być zrobione ze stali. Wyrzutnia startowa, dla ostatnich statków kosmicznych, które podczas swojego exodusu zbudowali bogowie, było to chyba z milion lat temu. Człowiek bowiem zniknął z powierzchni Ziemi. Dokonały tego epoki lodowcowe, wojna, dekadencja, choroby, i w końcu rozproszenie się tych ostatnich superludzi po nowszych planetach, w innych układach słonecznych.

– Kaalleee!… Tik, tik, tik!… – Te dźwięki nie miały ludzkiego charakteru. Bardziej były podobne do jazgotu i zawodzenia małych zwierząt pustynnych.

W głębinie tego wąwozu, było jednak również widać coś, co zdawało się stanowić absolutny paradoks. Błyski metalu, ostre i jaskrawe. Płaski, opływowy zarys kadłuba potężnej maszyny latającej, nowej i lśniącej. Dzwonokształtne zakończenie wlotu mechanizmu czerpiącego, który służył do usuwania ziemi i skały, przypuszczalnie wykorzystując zjawisko dezintegracji atomów. W taki właśnie sposób wąwóz oczyszczony został z nagromadzonych śmieci starożytności. Wszystko to wskazywało wyraźnie, że człowiek, jako władca Ziemi, miał swojego następcę.

Loy Chuk przyleciał ze swoją ekspedycją geologiczną, z odległych nizin, znajdujących się daleko na wschód, z miasta Kar-Rah. I teraz właśnie był niesamowicie szczęśliwy, rozpromieniony olbrzymim i zupełnie nieoczekiwanym sukcesem.

Kucał na pośladkach, na wysuszonym dnie Dołu. Jego długie, brązowe futro rozwiewał lekki wietrzyk. Z wyglądu nie różnił się specjalnie, od swoich przodków. Kiedy kucał w tej starożytnej pozycji, charakterystycznej dla swojego gatunku, miał może ze stopę wysokości. Miał również krótki, futrzany ogon, a dolna część jego ciała zabarwiona była na kremowo. Dookoła ciekawskiego, zakończonego na różowo pyszczka, rozpościerały się białe bokobrody.

Ale jego czaszka wysklepiona była mocno w górę i do przodu, a bystre paciorkowate oczy, zdradzały powolne dziedzictwo czasu, efekt przetrwania najlepiej przystosowanych, efekt ewolucji. Był w stanie myśleć, marzyć, wynajdować, a cywilizacja jego gatunku wyprzedziła już daleko, starożytny Dwudziesty Wiek.

Loy Chuk i jego współtowarzysze pracy, byli skupieni, rozradowani, ale i pełni napięcia, w związku z pewną rzeczą, którą wydobyły na światło dzienne ich wykopaliska. Był to stos rupieci, zaledwie coś więcej niż nieregularna kupa złuszczonej rdzy. Ale znajdował się w nim zwarty, zbity kształt, brązowy i twardy jak stare drewno. Wyschnięty muł, który okrywał go jak szczelny, nie przepuszczający powietrza sarkofag, został teraz pokruszony i zdarty przez małych badaczy, ale pobrudzone ziemią ubranie nadal się na nim trzymało, nawet po upływie być może miliona lat. Metal zupełnie poszedł w rozsypkę, tak. Ale nie to ciało. Odpowiedź na to była prosta – substancje alkaliczne. Nasycenie ciała minerałami, które powstrzymały czas i zmiany w tkankach. Idealny środek konserwujący dla tkanki organicznej, prawdopodobnie

wspomagany w ciągu tych wszystkich mijających er, przez suchość pustyni. Dakoty, bardzo szybko stały się wyschnięte i spieczone. To ciało nie było jakąś zwykłą skamienieliną. To była mumia.

– Kaalleee! – To znaczy, człowiek. Nie półbóg podbijający gwiazdy, ale starożytna istota, która zbudowała pierwsze maszyny na Ziemi, i w odległym Dwudziestym Pierwszym Stuleciu, pierwsze rakiety międzyplanetarne. Nie należy się więc dziwić, że Loy Chuk i jego współpracownicy byli w euforii, podnieceni paleontologicznym entuzjazmem! Dziwny przypadek, który wydarzył się dawno temu, w legendarnej starożytności, dopomógł im w ich mozolnym poszukiwaniu kolejnych okruchów wiedzy.

W końcu Loy Chuk wydał z siebie miękko brzmiący, ćwierkający sygnał. Monotonny zaśpiew ogłaszający tryumf ucichł, a w ich małych rączkach pojawiły się instrumenty badawcze. Ostatni przyrząd, jaki został przez nich użyty do badania mumii, wyglądał jak miniaturowy stereoskop, ze skomplikowanymi modyfikacjami. Loy Chuk trzymał go właśnie przed oczyma. Na niewielkim ekranie, który znajdował się w środku, dzięki działaniu skupionych promieni Rentgena, mógł oglądać powiększone obrazy organów wewnętrznych tego starożytnego ciała ludzkiego.

To, co wyjawiły mu wyniki sondowania, uczyniło jego radość jeszcze większą niż przedtem. Ćwierkającymi, rozszczebiotanymi dźwiękami, przekazał te nowo zdobyte informacje swoim podwładnym. Chociaż zwłoki zostały zupełnie pozbawione wilgoci, to jednak mumia doskonale się zachowała, nawet jej komórki mózgowe! Pośród gatunku Loy Chuka, nauki medyczne i biologiczne były dużo bardziej zaawansowane. Być może dzięki zastosowaniu metod od już dawna im znanych, to zmarłe przed wiekami ciało, będzie mogło ponownie zostać pobudzone do życia! Będzie mogło poruszać się, mówić, pamiętać swoją przeszłość! Jaki to byłby cudowny obiekt badań dla muzeów w rodzinnym Kar-Rah!

– Tik, tik, tik!…

Ale Loy, przy pomocy jednego rozkazu, uciszył ten nowy wybuch ochoczego szczebiotu. Praca była zawsze dużo istotniejsza niż świętowanie.

Z najwyższą troskliwością, przy użyciu małych, ostrych, ręcznych narzędzi, mumia Neda Vince'a została teraz uwolniona od resztek bezwartościowej rdzy, pozostałej po jego prymitywnym automobilu. Z podobną maksymalną troską, została zapakowana w metalowe pudło, i zaciągnięta do maszyny latającej.

Wkrótce, z tej ostatniej buchnęły płomienie, unosząc na pokładzie wszystkich stu członków ekspedycji. Pojazd wystrzelił w kierunku wschodnim, z szybkością kuli karabinowej. Rozległy płaskowyż kontynentalny Ameryki Północnej, zdawał się pełznąć z wolna pod nimi, uciekając do tyłu. Potężna piaszczysta pustynia, poznaczona była jedynie niskimi, rozmytymi pasmami górskimi i niewyraźnymi kanciastymi wielobokami kopców pozostałych po ludzkich miastach, które już na zawsze odeszły w przeszłość.

Dalej, za wschodnim obrzeżem kontynentu, równina zapadała się stromo w dół. Wzgórza pokryte były bielą wysuszonej soli morskiej, ale tutaj można było również zauważyć trochę

zielonej roślinności. Dno martwego morza, nieistniejącego już Atlantyku, obecnie nie było tak kompletnie martwe jak wyżyny.

Daleko przed nimi, w głębokiej dolinie, pojawiło się Kar-Rah, miasto gryzoni, krystaliczny labirynt niskich, podobnych do bąbli konstrukcji, błyszczących w czerwonym świetle słonecznym. Ale to była jedynie jego część znajdująca się na powierzchni. Lud Loy Chuka już od niepamiętnych czasów zarania swojej ewolucji, budował swoje domy przede wszystkim pod ziemią. Ponadto w tych schyłkowych czasach, kiedy noce były bardzo zimne, schronienie jakie dawały podziemne przejścia i pomieszczenia, było mile widziane.

Mumia została natychmiast zabrana do laboratorium Loy Chuka, znajdującego się w niewielkiej odległości pod powierzchnią. Tutaj naukowiec bez zwłoki rozpoczął swoją pracę. Ciało starożytnego człowieka, zostało włożone do dużej kadzi. Płyny w których je zanurzono, powoli zaczęły wypłukiwać ze stwardniałego ciała substancje alkaliczne, dzięki którym zachowało się ono przez tak długi czas. Płyn był nieustannie zmieniany, dopóki stwardniałe mięśnie i inne tkanki, ponownie nie stały się bardziej elastyczne.

Potem rozpoczęto bardziej delikatne procesy. Na ciągle zanurzone w płynie ciało, został skierowany strumień energii wzmacniającej, przemieszczający się pomiędzy skomplikowanymi elektrodami. Komórki starożytnego ciała i mózgu, stopniowo przyjmowały strukturę chemiczną, zbliżoną do tej jaką, wiedziano, że miały niegdyś, za życia.

W końcu, to co pozostało z płynu, zostało odsączone, i w kadzi pozostała mumia. Ale to nie była już mumia, tylko blada, cicha postać leżąca w resztkach odzieży. Loy Chuk nałożył na jej głowę dziwaczny hełm z metalizowanej tkaniny, a drugi, dużo mniejszy na swoją. Do tego całego zestawu podłączone było czarne pudełko, które miało wiele różnych funkcji. Przy pomocy tego urządzenia pracował przez cztery godziny, badając, mierząc, testując, sterując urządzeniami rejestrującymi. Czas szybko mijał.

W końcu, podniecony i gotów na wszystko, cokolwiek mogłoby się teraz wydarzyć, Loy Chuk nacisnął kolejny przełącznik. Wokół nieruchomej postaci, rozbłysła zimna różowa poświata energii.

Dla Neda Vince’a mrok ponadczasowej wieczności rozstąpił się, jak stopniowo rozpraszająca się mgła. Kiedy znowu mógł wyraźnie widzieć, w nieunikniony sposób doświadczył szoku, wywołanego przez potężne zmiany, jakie narosły wokół niego. Pomimo całkowitego odwodnienia, jego mózg pozostał przez wszystkie te stulecia, zupełnie nietknięty, a teraz został przywrócony do życia. A więc jego wspomnienia były tak ostre i namacalne, jakby wszystko co przeżył, wydarzyło się wczoraj.

Natomiast przez krystaliczne ściany kadzi, w której leżał, zobaczył szerokie, niskie pomieszczenie, w którym ledwie mógłby stanąć wyprostowany. Widział również przyrządy i wyposażenie, którego niesamowite kształty sugerowały kompletną obcość, i wiedzę przekraczającą dalece horyzonty epoki w której żył! Ściany miały lawendowy kolor i fosforyzowały. W płytkich pudłach piętrzyły się stosy fragmentów skamieniałych kości. Niektóre z nich, sądząc po rozmiarach, wyglądały na kości dinozaurów. Ale znajdował się tutaj również kompletny szkielet psa, szkielet ludzki i drugi szkielet istoty podobnej do ludzkiej, ale nie do końca człowieka. Kręgi jego szyi były bardzo grube i mocne, ramiona niesamowicie szerokie, a czaszka po prostu gigantyczna.

Wszystkie te niesamowite fakty gwałtownie wstrząsnęły umysłem Neda Vince’a. Szok ten zaowocował nagłą, staromodną paniką. Coś tu było straszliwie nie tak!

Opanował go nerwowy strach przed nieznanym. Słaby i oszołomiony wskutek swego niesamowitego zmartwychwstania, którego nie był w stanie zrozumieć, przypomniał sobie, co się działo w chwili kiedy tonął, zanurzając się na pewną śmierć w wodach zalewiska na Zakręcie Wokół Dołu. Złapał za krawędź przezroczystej kadzi i podciągnął się do pozycji siedzącej. Wokół niego rozlegał się stłumiony pomruk, tak jak gdyby przebywał w jakiejś wielkiej nieziemskiej metropolii.

– Zachowaj spokój, Nedzie Vince…

Same słowa i forma w jakiej zostały razem zestawione, były starymi, dobrze znanymi przyjaciółmi. Ale sposób mówienia wydawał się jakiś niewłaściwy. Dźwięk był wysoki i ostry, a zdanie wypowiedziane zostało mechanicznie, tak jakby powtórzyła je papuga. Spojrzenie Neda poszukało źródła dźwięku z którego pochodził głos — znalazło w końcu czarne pudełko, umieszczone tuż obok jego kryształowej kadzi. Głos zdawał się wydobywać właśnie z tego pudełka. Obok niego przykucnęło małe brązowawe zwierzątko z rozdętą głową. Łapki zwierzęcia, zakończone małymi paluszkami — to były ręce, naprawdę — biegały po rzędach klawiszy.

Wszystko to zdawało się Nedowi Vience'owi zupełnie szalone i niezrozumiałe. Gryzoń, wyglądający trochę jak piesek preriowy, ale ewidentnie posiadający inteligencję wysokiego rzędu. I głos, wypowiadający uspokajająco znajome słowa, które jednak wydawały się być jakieś odrażające, ponieważ po prostu nie powinny się pojawić w tak niesamowitym miejscu.

Ned Vince nie wiedział, że Loy Chuk wysondował wcześniej jego mózg, przy pomocy pary hełmów i urządzenia w czarnym pudełku. Nie wiedział również, że w tym ostatnim, zapisane zostały informacje o języku jakim mówił, uzyskane z jego własnego rewitalizowanego umysłu, a Loy Chuk musiał jedynie naciskać określone przyciski, aby urządzenie mogło wyrazić jego myśli w zwykłym, dawno wymarłym angielskim. Gdyby nie ten przyrząd, Loy, którego organy głosowe nie były ludzkie, miałby duże trudności z wypowiadaniem angielskich słów.

Ciemne włosy Neda stanęły mu dęba na głowie. Jego szczupłą, młodą twarz przesłonił wyraz zgrozy. Głośno sapiąc z trudem łapał powietrze w rzadkiej atmosferze.

– Ja oszalałem – oznajmił z całkowitym spokojem. – Po prostu, najnormalniej w świecie, oszalałem…

Pudełko Loya, przy pomocy zarejestrowanych słów języka angielskiego i detektorów sonicznych, było w stanie swobodnie tłumaczyć na język swojego mistrza. Kiedy człowiek przemawiał, Loy odczytywał podświetlone symbole w swoim języku, wyświetlone na znajdującej się przed nim oszronionej krystalicznej płycie. W ten sposób wiedział, co mówi Ned Vince.

Loy Chuk nacisnął kilka kolejnych klawiszy, i pudełko odtworzyło jego odpowiedź.

– Nie, Ned. Nie oszalałeś. Ani trochę. Po prostu jest wiele rzeczy, o których musisz się dowiedzieć, i to wszystko. Utonąłeś mniej więcej milion lat temu. A ja odkryłem twoje ciało. Przywróciłem cię z powrotem dożycia. Nasza nauka potrafi tego dokonać. Nazywam się Loy Chuk…

Pudełko potrzebowało tylko kilku chwil, aby opowiedzieć całą historię w jasnych, przejrzystych i przyjaznych dla słuchacza słowach. W ten sposób, Loy szukał spokojnego. zgodnego z ludzką logiką sposobu, aby jego pacjent poczuł się jak w domu. Przypuszczalnie jednak, nadzieja że w ten sposób uda mu się odnieść jakiś poważniejszy sukces, była z jego strony kompletną głupotą.

Vince zaczął mamrotać pod nosem, rozpaczliwie próbując pojąć całą sytuację.

– Piesek preriowy – powiedział do siebie. – Mówi do mnie. Milion lat. Ewolucja. Naukowcy twierdzą, że ludzie rozwinęli się z morskich ryb. Pieski preriowe są sprytne. A więc być może jakieś super pieski preriowe, mogłyby się z nich rozwinąć. Dużo łatwiej, niż ludzie z ryb…

To wszystko miało jakiś logiczny wydźwięk. Nawet Ned Vince zdawał sobie z tego sprawę. Nadal jednak, jego umysł nastawiony na zwykłe, przyziemne sprawy, nie był w stanie ogarnąć tych olbrzymich rzeczy, które przydarzyły się jemu samemu i światu. To wszystko miało tak oszałamiająco wielki zakres. Milion lat. O Boże!…

Ned Vince uczynił ostatni wysiłek, żeby się opanować. Jego palce kurczowo zacisnęły się na krawędzi kadzi.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzucił gwałtownie, rozdrażniony. – Ale natychmiast chcę stąd wyjść! Chcę wrócić tam, skąd przybyłem! Czy mnie rozumiesz, kimkolwiek, czy czymkolwiek jesteś?

Chuk Loy nacisnął kilka kolejnych klawiszy.

– Ale przecież nie możesz wrócić do dwudziestego wieku! – stwierdziło pudełko. – Nie ma też obecnie dla ciebie lepszego miejsca niż Kar-Rah. Jesteś jedynym człowiekiem, jaki pozostał na Ziemi. Ci ludzie, którzy żyją w układach innych gwiazd, tak naprawdę nie należą już do twego gatunku, chociaż ich przodkowie pochodzili z tej planety. Odeszli już od ciebie daleko na drodze swojej ewolucji. Dla nich, byłbyś tylko pozbawioną znaczenia ciekawostką. W dużo lepszej sytuacji jesteś z moją rasą. Nasze umysły są dużo bardziej podobne do twojego. Zajmiemy się tobą, i sprawimy, że będzie ci wygodnie…

Ned Vince przestał jednak już słuchać tego wszystkiego. „Jesteś jedynym człowiekiem, jaki pozostał na Ziemi”. To było jak dla niego, wystarczające. Nie wierzył w te wszystkie bzdury, nawet w połowie. W jego głowie panowała zbyt wielka dezorientacja, by dał się przekonać do czegokolwiek. Wszystko co widział, słyszał i czuł, to musiał być jakiś koszmar. Gdyby jednak to miała być prawda, oznaczałoby to dla niego bezdenną grozę. Ned bynajmniej nie był jakimś tchórzem. Każdemu normalnemu zagrożeniu śmiercią czy niebezpieczeństwem, stawiłby czoła śmiało i z odwagą. Ale samotność w takim miejscu i zupełna obcość, były dla niego tak samo ohydne, jak samotne porzucenie na jakiejś innej planecie!

Szeroko otworzył oczy, a serce waliło mu jak młotem. Rozejrzał się po niesamowitym pomieszczeniu. Po jego przeciwległej stronie, znajdowała się rampa, prowadząca w górę zamiast schodów. Opanował go gwałtowny impuls, żeby uciec z tego bezimiennego miejsca, by spróbować samemu zdobyć nowe fakty, dotyczące jego samego. Wyskoczył z kadzi i z opuszczoną nisko głową, rzucił się w stronę rampy.

Przez większą część drogi, musiał poruszać się na czworaka, ponieważ wznoszące się pod skosem przejście, było dla niego zbyt niskie. Dookoła otaczały go podekscytowane zwierzęce chichoty, a od czasu do czasu czuł dotyk miękkiego, pokrytego futrem ciała, co

tylko jeszcze przyśpieszało jego gorączkową wspinaczkę. W końcu udało mu się wydostać na powierzchnię.

Ciężko oddychając, stał w zimnym, rozrzedzonym powietrzu. Właśnie zapadła noc. Księżyc był gigantycznym, poznaczonym dziobami kręgiem. Zupełnie nie był w stanie rozpoznać gwiazdozbiorów. Miasto gryzoni stanowiło niesamowitą jaśniejącą przestrzeń, pełną niskich, krystalicznych kopuł, porozrzucanych pomiędzy dziwacznymi drzewami i krzewami. Dookoła niego, ze wszystkich stron wyłaniały się wysokie zbocza górskie. Ich postrzępione zarysy, zostały niemal zupełnie wygładzone, przez milion lat erozji pod powierzchnią oceanu, który teraz już zniknął w niebycie. W widmowym świetle księżyca, tylko ziemia błyszczała wysuszoną solą.

– No cóż, tak sobie myślę, że to wszystko musi chyba być prawda, co? – bezbarwnym głosem wymamrotał do siebie Ned Vince.

W korytarzu za sobą, usłyszał podnieconą piszczącą paplaninę. Pościg gryzoni. Obejrzał się do tyłu, i zobaczył błyszczące szpileczki niezliczonych małych oczu. Tak, równie dobrze mógłby zostać wygnańcem na jakiejś innej planecie — tak bardzo odmienna była teraz Ziemia.

Kiedy uświadomił sobie w pełni rozmiar czasu jaki przeminął, tych trudnych do ogarnięcia eonów, które oddzielały go od przyjaciół, od Betty, od niemal wszystkich swojskich i znajomych rzeczy, przeszła przez niego fala trudnej do zniesienia tęsknoty za domem. Zaczął biec przed siebie, próbując uciec jak najdalej od tych błyszczących gryzonich oczu. Czuł kroczącą za nim, po tym zimnym dnie morza śmierć, ale cóż z tego? Jaki mu pozostał powód do życia? Tutaj byłby jedynie eksponatem muzealnym, trzymaną w klatce i nieustannie badaną rzeczą…

Więzienie, albo dom wariatów, byłyby już znacznie lepsze niż to. Próbował podbudować swoją odwagę. Ale gdzie szukać do tego inspiracji? Nigdzie! Biegnąc zanosił się ochrypłym śmiechem, ciesząc się tym ostrym, zabójczym zimnem. Tęsknota trzymała go w swoim uścisku, i nie było na nią żadnego remedium, w piekle jego świata, zagubionego za barierą lat…

Loy Chuk i jego podwładni, wkrótce odnaleźli nieprzytomne ciało Neda Vince'a, jakąś milę za miastem. W latającej maszynie, którą zabrali go z powrotem, podali mu leki stymulujące. Niebawem znalazł się w tym samym pomieszczeniu laboratoryjnym, w którym przebywał wcześniej. Tym razem jednak został mocno przywiązany do niskiej platformy, tak aby nie mógł im ponownie uciec. Przez pewien czas leżał na niej zupełnie bezwładnie, ale wkrótce wpadł mu do głowy pewien pomysł. Dał mu on odrobinę nadziei.

– Hej, jest tam ktoś? – zawołał.

– Lepiej teraz trochę odpocznij, Ned – dobiegła go odpowiedź z czarnego pudełka. To znowu mówił do niego Loy Chuk.

– Ale posłuchaj! – zaprotestował Ned. – Wiecie teraz dużo więcej, niż my wiedzieliśmy w dwudziestym wieku. I… no cóż… jest takie coś, co nazywa się podróżą w czasie, kiedyś coś o tym czytałem. Może wy wiecie, jak to zrobić! Może, pomimo wszystko, uda wam się odesłać mnie do mojego czasu?

Mały Loy Chuk pogrążył się w mrocznym nastroju zniechęcenia. Był w stanie zrozumieć szaleńcze przygnębienie tego giganta z przeszłości, po utracie całego swojego gatunku. Prawdopodobnie zmierzało to wszystko do obłędu. W dużo mniej ekstremalnych okolicznościach niż te, tęsknota za domem, mogła doprowadzić do śmierci.

Loy Chuk był jednak naukowcem. I tak samo jak wszyscy prawdziwi naukowcy, bez względu na gatunek, z którego pochodzą, kochał badane przez siebie obiekty. Pragnął gorąco, żeby starożytny człowiek przeżył i czuł się szczęśliwy. W przeciwnym razie, to stworzenie będzie miało niewielką wartość dla jego badań.

Tak więc Loy głęboko przemyślał to, co sugerował Ned. Podróż w czasie. Niemal legenda. Atak na nieuchwytną barierę, która pokonała dużo ostrzejsze umysły niż Loya. Ale przycisnęła go potrzeba, zachowania zdrowia tego anachronizmu, który tak cudownie przywrócił do życia, tego człowieka, tego Kaalleee…

Loy wcisnął kilka klawiszy na czarnym pudełku.

– Tak, Ned – przekazało jego urządzenie dźwiękowe. – Podróż w czasie. Być może to jedyna rzecz, jaką możemy zrobić… odesłać cię do twojego okresu historii. Ponieważ widzę, że tutaj nigdy już nie będziesz sobą. To bardzo trudna rzecz do zrobienia, ale spróbujemy. Teraz podam ci środek usypiający…

Ned natychmiast poczuł się lepiej, ponieważ teraz miał jakąś realną nadzieję, podczas gdy wcześniej nie było jej w ogóle. Być może wróci ponownie do swojego rodzinnego miasta, Harwich. Może zobaczy tamtejszy stary warsztat naprawy maszyn. I drzewa pokrywające się na wiosnę zielenią. Może wkrótce zobaczy Betty Moore w Hurley… Kiedy mała igła ze środkiem usypiającym wbiła się w jego rękę, Ned odprężył się całkowicie…

Wkrótce po tym, jak Ned Vince odpłynął w nieświadomość, Loy Chuk jeszcze raz usiadł do pracy, ponownie używając pary hełmów mózgowych, badając ostrożnie umysł człowieka. Po wielogodzinnych badaniach, przeszedł do fazy przygotowywania swoich planów. Rządy w Kar-Rah sprawowała oligarchia naukowców, której Loy był jednym z najważniejszych członków. Bez problemu powinien otrzymać wszelką pomoc, jakiej będzie potrzebował.

Horda małych stworzeń o szarym futrze trudziła się wraz ze swymi maszynami. przez wiele dni.

Umysł Neda Vince'a, stopniowo zaczął wydostawać się z otulającej go mgły otępienia. Wędrował bez celu dookoła jakiegoś znajomego pomieszczenia. Znajdujące się ponad jego głową stalowe belki dachu, pomalowane były na czerwono. Stały tam również jego przyborniki z narzędziami, tłuste od smaru i wypełnione kawałkami metalu, wyglądające tak jak zawsze. Miał do naprawy traktor, potem również siewnik. Na zewnątrz budynku warsztatu, świeciło stare, dobrze znajome żółte słońce. Po drugiej stronie ulicy stał mały, brązowy dom w którym mieszkał.

Z nagłym zdziwieniem, zobaczył stojącą w drzwiach Betty Moore. Miała na sobie niebieską sukienkę, a jej wargi wykrzywiał psotny uśmiech. Tak jak gdyby miała ochotę aby podkraść się do niego i zrobić mu niespodziankę.

– Powiedz mi Ned – zachichotała, – dlaczego masz taki wygląd, jakbyś śnił, i obudził się dopiero chwilę temu!

Kiedy podeszła do niego, skrzywił się z żalem. Z dziwnie gwałtownym uczuciem wdzięczności, chwycił ją w ramiona. Tak, ona była również taka jak zawsze.

– Wydaje mi się, że naprawdę śniłem, Betty – szepnął jej do ucha, czując ogromną ulgę. – Musiałem znienacka zasnąć tu, przy stole warsztatowym, i miałem straszliwy koszmar. Myślałem, że miałem wypadek, na Zakręcie Wokół Dołu, i przez to przydarzyło mi się wiele, znacznie gorszych rzeczy… Ale na szczęście, to wszystko było tylko snem…

Umysł Neda Vince'a, nad którym unosiła się nadal mgiełka, na tyle ulotna, że nie próbował się z niej otrząsnąć, łatwo zaakceptował te oczywiste fakty.

Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z niewidocznego promieniowania, które w niego uderzało, uśmierzając i przyćmiewając jego mózg, tak że nigdy nie powstaną w nim żadne pytania czy wątpliwości. Nie będzie się również zbyt dokładnie przyglądał, niezgodnościom i sprzecznościom w powstałych warunkach, jakie często będą musiały się pojawiać. Na przykład, brak ruchu ulicznego na zewnątrz, czy też brak jakichkolwiek ludzi poza nim i Betty,

Nie zdawał sobie sprawy, że ten warsztat naprawczy, zbudowany został na podstawie jego własnych wspomnień dotyczących oryginału. Nie zdawał sobie sprawy, że również Betty pochodziła z tego samego źródła — stanowiła cudowny wytwór z metalu, energii i miękkiego plastiku. Rosnące na zewnątrz drzewa były jedynie iluzją, wywołaną przy pomocy przeźroczy.

Wszystko to zostało zbudowane we wnętrzu wielkiej, przezroczystej kopuły. W niej również ukryte zostały systemy podglądu telewizyjnego. W ten właśnie sposób, gatunek Loy Chuka, mógł badać tego starożytnego człowieka, tego Kaalleee. A więc motywy ich działania, miały głównie charakter egoistyczny.

Sam Loy jednak, teraz go nie obserwował. Wyruszył na daleką wędrówkę, w odległe, smutne regiony zimnego dna morskiego, aby porozmyślać w samotności. Popiskiwał i poskrzekiwał sam do siebie, przypatrywał się śladom wielkiego, nieubłaganego marszu wieków. Wspomniał starożytne ruiny, pozostawione przez ostatnich superludzi.

– Kaalleee wierzy, że znalazł się z powrotem w domu – dumał Loy. – Przeżyje i będzie szczęśliwy. Ale nie było innego wyjścia. Czas jest odwieczną barierą. Nasze badania archeologiczne miast superludzi, pokazują prawdę. Nawet tym, którzy niegdyś władali Ziemią, nigdy nie udało się uciec ze swojej teraźniejszości, nawet choćby na chwilę…

KONIEC